NA WYŻYNY

Dodatek dla młodzieży do „Głosu Ewangelickiego“

Rok VII. Warszawa, 19 kwietnia 1931 r. № 1.

Święto życia

„Ja żyję i wy żyć będziecie“.
(Ew. Jana 14, 19)

Jezus żyje!

W piękny poranek wiosenny ta cudowna wieść po raz pierwszy rozbrzmiała nad otwartym grobem Chrystusowym. Odtąd dzwony wielkanocne w każde święto Zmartwychwstania roznoszą ją po całym świecie chrześcijańskim. Wielkanoc — to święto Życia.

Czyż nie jest straszną sama myśl, że życie Tego, który był pełen świętej miłości i dobroci, mogłoby się skończyć w grobie i zniknąć bezpowrotnie? Źli ludzie skazali Go na śmierć i odnieśli zwycięstwo! Przytłoczeni ciężarem smutku i winy uczniowie żadnej nie znajdują pociechy. Wierne uczennice Jego w nieutulonym żalu płaczą. Wszystkim, którzy weń wierzą, pozostały jeno rzewne, acz piękne wspomnienia. Imię Jezusa, podobnie jak imię wielu innych tego świata, poszłoby zczasem w zapomnienie. Umarł!

Lecz oto żyje! Grzechu ciemne moce piekła nie mogły zniweczyć Jego dzieła, gdyż było dziełem bez plamy, bez skazy, doskonałem, bożem. Życie Jego nie mogło pozostać w okowach śmierci. Wszak w Nim była pełnia życia boskiego.

On Sam był dawcą życia. „Jam jest zmartwychwstanie i żywot!“ On jeden już w przeddzień śmierci Swojej zapewniał uczniów: Ja żyję! A Ojciec wszechmocny przypieczętował słowo Syna Swego i zbudził Go z uśpienia grobu. Jezus zmartwychwstał jako książę Żywota!

Spełniło się i drugie Jego słowo: I wy żyć będziecie! Beznadziejnym uczniom ukazuje się Pan! Zdejmuje z ich serca ciężar winy i zwątpienia, rozpala przygasłą w ich duszy iskierkę wiary, tchnie w nich życiodajnego ducha Swego: Pokój wam!

Odtąd życie Jego przejawia moc swoją we wszystkich, którzy zbudzeni ze snu duchowego powstają do nowego życia, do życia w wierze, miłości i nadziei Chrystusowej.

Czy zbudził On i w Tobie już pragnienie nowego życia? Czy doznałeś Jego mocy życiodajnej? Czy święciłeś zmartwychwstanie duszy?

Daj, żebyśmy serdecznie
Wskrzeszenie Twe społecznie
I usty wysławiali
I życiem wyznawali.

K.

Marja Konopnicka

Modlitwa Wiosenna

Modrą się wstęgą toczą jasne zdroje,
Szumi gaj młody i trawy na łanie.
Za życia ziemi i kwiatów, i moje
Dzięki Ci, Panie!
Słońca my Twego czekali z tęsknotą
Przez długą zimę, przez śnieżne zawieje,
Aż nam jaskółki przyniosły wieść złotą,
Że wiosna dnieje.

I serce moje tak śpiewa, jak ptaszę,
I wzrok w błękity ku Tobie ulata...
Czuję, jak wieje nad pola, nad nasze
Chrystusa szata.
On to znów stopką najświętszą Swa chodzi
Przez nasze miasta i łany, i wioski,
A jego śladem kwiat cudny się rodzi
I spokój boski!

W powiewach ranka, w piosence słowika,
W rozkwitłych lasów szumiącej zieleni
Słyszę głos Jego, co ziemię przenika:
— Błogosławieni!

Błogosławieni, co w każdą tu wiosnę
Świat obsiewają czynami pięknemi.
Błogosławione i dziatki, co rosną,
Jak kwiaty ziemi!

R. FRYDRYCH.

Znajda

I.

Mróz był tęgi, ale Mateuszowi, dźwigającemu potężne szczapy sosnowe do sań, pot ciekł ciurkiem po czole. Mały chłopiec Walek. okręcony grubą wełnianą chustą, uwijał się też niezgorzej. Mimo to ojciec przynaglał go, spoglądając z niepokojem na zachodzące słońce i zaczerwienione niebo.

— Śpieszmy się, Waluś, niedługo będzie ciemno. Mróz coraz większy, a do domu mamy kawał drogi.

Chłopiec z większym zapałem zabrał się do roboty. Ponieważ dużych szczap nie mógł udźwignąć, zbierał wkoło gałęzie i szyszki i układał je na przodzie sań.

Gdy praca została skończoną, Mateusz wdrapał się na sam wierzch naładowanych sań i, schowawszy chłopca pod baranie futro, cmoknął na konie. Te, zziębnięte, poszły raźno, parskając i wyrzucając nozdrzami kłęby pary. Z początku jechali brzegiem lasu, później skręcili wbok na jakąś dróżynę, którą można było tylko poznać po kilku przysypanych lekko śniegiem śladach. Otoczyła ich pustka, tylko gdzieś daleko na widnokręgu migotały blade światła. Mateusz od czasu do czasu oglądał się wtył, uważając, czy nie skrada się za saniami jaki wilk-włóczęga. Istotnie, zobaczył ze dwa albo trzy cienie, wyraźnie odbijające się od białej pościeli śnieżnej.

Mateusz ściskał w ręku dubeltówkę i nie potrzebował się obawiać wilka, na ko-

**Osiedle szkolne „Rejówka“
przy gimnazjum M. Reja.**



W jadalni

nie jednak zwrócił baczną uwagę, aby się nie spłoszyły i nie pomknęły na pewną zgubę. Jechali tak z pół godziny i zbliżyli się do zrzadka rozsianych domostw. Przejeżdżając obok krzyża, gdzie rozbiegały się drogi, konie zaczęły chrapać i rzuciły się gwałtownie wbok. Zaniepokojony i zdziwiony Mateusz spojrzał instynktownie w stronę gęstych zarośli, okalających krzyż, ale nib nie spostrzegł, coby mogło tłomaczyć niepokój koni, Zeskoczył jednak i, chwyciwszy wystraszone zwierzęta za cugle, rozglądał się uważnie. Nagle zamajaczyła mu na tle krzaków o kilka kroków od krzyża jakaś szara sylwetka. Odwiódłszy kurki, przybliżył się do niej i oniemiał ze zdziwienia. Na śniegu leżało dziecko, otulone w ciemne łachmany. Mateusz, myśląc, że śni, przetarł silnie czoło, chcąc odpędzić widziadło, ale blada twarzyczka nie znikała. Pochylił się i dotknął ręką najpierw sukienki, a raczej marnego strzępka niegodnego tej nazwy, następnie powiódł drżącą ręką po twarzyczce. Była zimna. Przytknął głowę do piersi biedactwa, chcąc znaleźć chociaż ślad życia. Usłyszał lekkie słabe jak brzęczenie komara szmery.

Osiedle szkolne „Rejówka"



Świetlica

Bez wahania wziął ciałko na ręce i, ułożywszy dziecko na saniach, okrył je własnym kożuchem i zaciął konie. Te szły ochoczo, i wkrótce przybyli do domu. Mateusz wbiegł raźno do izby i ku zdziwieniu wszystkich wydobył z kożucha dziwny zwitek łachmanów.

— Nie tracić czasu i przynieść mi śniegu w misce!—odezwał się. Wmig spełniono jego polecenie, on zaś, odwinąwszy dziecko z zesztywniałych gałganów, zaczął silnie nacierać śniegiem. Po pewnym czasie zaczęły ukazywać się na ciele czerwone plamy. Wtedy ułożył je na łóżku i okrył ciepłą pierzyną. Zpoczątku dziewczynka nie dawała znaku życia, i Mateusz zwątpił w skuteczność swych zabiegów, lecz po dłuższym czasie na twarzyczkę poczęły występować bledniutkie rumieńce, i usta zaczęły się nieznacznie otwierać, chwytając oddech. W kilka chwil potem powieki poczęły drgać, i dziewczynka ku wielkiej radości wszystkich otworzyła oczy.

Chorowała długo. Już śniegi zaczęły topnieć, nastawały cieplejsze dni, a ona jeszcze leżała w łóżku otoczona troskliwą opieką Mateusza, Mateuszowej i Walusia.

Ten ostatni nie posiadał się z radości widząc, jak powoli, ale stale przychodzi dziewczynka do zdrowia. Gdy pewnego razu, kiedy już czuła się dość dobrze, Mateusz zapytał ją, gdzie są jej rodzice, ona rozpłakała się rzewnie i wyjąkała:

— Tatuś daleko, a mamusia tam u Bozi.

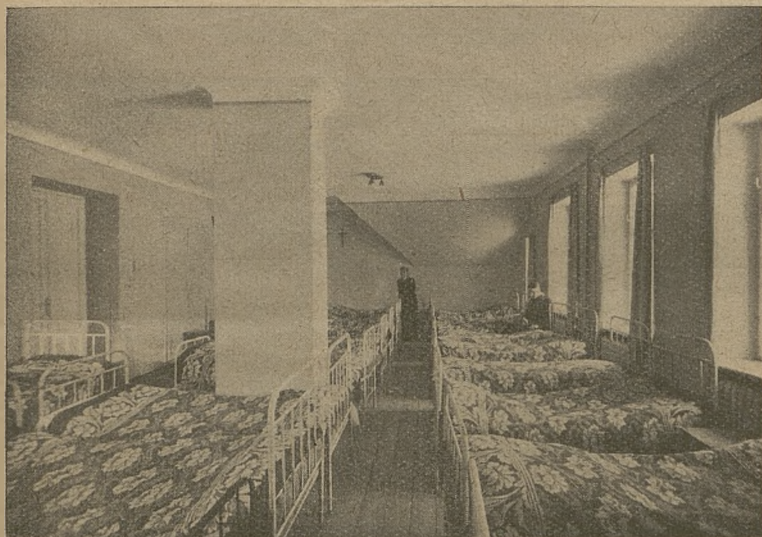
Serce Mateusza ścisnęło się z bólu. Chwilę rozważał coś pilnie, potem pogładził dziewczynkę po główce i spytał:

A kto je znalazł? Nie ty? Kto grzał, kto karmił dotychczas?!

Basi dobrze działo się u Mateuszów. O swem sieroctwie zapomniała prawie zupełnie. Waluś wynajdywał coraz ciekawsze zabawy. Gdy nastało lato, chodzili do lasu na jagody, podpatrywali gniazda słowików, lub wynajdywali tajemnicze skrytki w ogrodzie, gdzie gromadzili najrozmaitsze graty: łuki, strzały, połamane koło, z których Waluś zamierzał zbudować wózek i wiele innych rupieci. Ulubionem miejscem zabaw była rzeczułka koło mostu. W tem miejscu była ona płytka, tak że można było przejść na drugi brzeg, nie zamoczywszy kolan. Co za radość była, gdy które z dzieci schwytało dłońmi rybkę i wrzuciło ją do małego stawku, wykopanego przez Walusia. Wieczorami siadały dzieci przy kominie, a ojciec opowiadał im przecudne baśnie o tajemniczych zbójach, o zaczarowanych królewnach i wiele, wiele innych.

Waluś i Basia wywdzięczali się ojcu za bajki i na jego prośbę śpiewali najrozmaitsze piosenki, to o słonku, które późno wstało, to o żołnierzu tułaczu i wiele innych.

Osiedle szkolne „Rejówka"



Sypialnia

— A jak się nazywasz, malutka?

— Basia — odpowiedziała płacząc.

Poczciwy Mateusz współczuł bardzo biednemu dziecku. Uważał za swój obowiązek otoczyć dziewczynkę ojcowską opieką. Nie był to tylko chwilowy poryw, rozważał to bowiem od dłuższego czasu. Teraz postanowił podzielić się swemi planami z żoną.

— Słuchajno — rzekł razu pewnego — mamy jednego chłopaka. Nie po chrześcijańsku byłoby wyrzucić tę biedną znajdę i żałować jej kawałka chleba.

Mateuszowa aż zasapała z oburzenia.

— A ktoby ją tam wyrzucał i odmawiał chleba?! Alboć to nie nasze dziecko?

II

Tak mijały lata. Waluś wyrósł na dużego chłopca i pracował rarem z ojcem w polu, Basia zaś pomagała przybranej matce w gospodarstwie. Była przez wszystkich lubiana za słodycz i dziwną pogodę. Nie ukazywała nikomu chmurnego czoła i dla każdego bały uprzejma. Przy pracy nuciła piosenki, które najchętniej lubił słuchać Waluś.

Pewnego razu przejeżdżali przez wieś jacyś dwaj panowie. Wstąpili oni do Mateuszów, abu wypocząć i pokrzepić się po uciążliwej podróży. Gdy odjeżdżali, pragnęli Mateuszowi zapłacić za gościnę, ale widząc oburzenie poczciwego wieśniaka, naradzili się przez małą chwilę, następnie rzekł jeden, wyciągając jakiś przedmiot z walizy.

— Słyszeliśmy, jak wasza córka pięknie śpiewała. Nie wiecie może, jaki niepospolity talent kryje się w niej. Radzimy wam oddać ją do szkoły. Mogłaby osiągnąć świetne sukcesy. W dowód, że szczerze mówię, przyjmijcie odemnie tę pamiątkę — to rzekłszy, podał Mateuszowi piękne nowiuteńkie skrzypce.

Od tego czasu wkradł się niepokój do duszy Mateusza. Z jednej strony trapiła go myśl, że mogłaby ich kiedyś opuścić ukochana Basia, z drugiej zaś strony wiedział, że to, co mówił ów pan, było prawdą. Najmniej może tem wszystkiem przejmowała się sama Basia. Przeciwnie, była jeszcze weselsza i ani myślała o mieście, o powodzeniach i o sławie, jakaby ją tam czekała. Lecz niedługo to trwało. Po pewnym czasie zjawili się najniespodziewaniej ci sami panowie. Przejeżdżając przez wieś, wstąpili do Mateuszów.

Tym razem Mateusz uległ ich namowom. Zawołał Basię, ale ta na widok panów, domyśliwszy się, o co chodzi, rozpłakała się i zpoczątku nie chciała słuchać żadnych namów ani obietnic.

— Nie chcę jechać do miasta, ja się boję. Wolę zostać w domu.

— To tylko chwilowo — tłomaczyli Mateuszowi niestrudzenie. Pewni jesteśmy, że dziewczynce spodoba się życie w Warszawie. Trzeba tylko zdobyć się na silną wolę pojechać.

Ile było przy pożegnaniu łez, ile smutku, tego nie opisze żadne pióro. Biedaczka nie mugła wyobrazić sobie długich chwil bez Mateuszowej. Mateusza i Walusia. Ten ostatni najbardziej czuł się pokrzywdzonym. Znienawidził na śmierć nieznajomych, którzy przerwali ciche pasmo szczęścia, a teraz wywożą najmilszą towarzyszkę i siostrę przybraną gdzieś do ogromnego miasta A co ją tam w mieście czeka? Chłopiec niewielkie miał pojęcie, jak wygląda duże miasto, jakie jest tam życie, jacy ludzie. Przeczuwał tylko, że, gdy Basia raz tam pojedzie, będzie stracona na całe życie dla niego i dla wszystkich.

Smutne toczyło się życie u Mateuszów. Mateusz wychodził w pole chmurny i zadumany, żona często popłakiwała przy robocie, a Waluś, pasąc krowy, leżał całemi godzinami nawznak na murawie wpatrzony w niebo. Często pragnął być chmurką, szybować gdzieś hen, wysoko, może do wielkiego miasta, gdzie zobaczyłby Basię.

Od czasu do czasu przychodziły od Basi listy. Zbierali się wtedy wszyscy i czytali owe proste, niewprawną ręką kreślone słowa. Pisała, że jest jej dobrze, ale strasznie, strasznie tęskni i zpewnością na drugie lato przyjedzie. Czasami pisała specjalnie do Walusia. Chłopak chował się wtedy na strychu w jakiejś dziurze i z bijącem sercem sylabizował drogie wyrazy. Pisała mu, że miasto jest bardzo, bardzo duże i że tam nie takie są domy, jak na wsi, ale jeden na drugim. Ona sama mieszka bardzo wysoko i jak spojrzy wdół, to aż się w głowie kołuje. Pisała najrozmaitsze cuda o samochodach i o domach, które same chodzą po ulicy. Ona też jechała w takim domu, tylko że nie był taki ładny i jechał bardzo, bardzo szybko, że aż się bała.

Walus, w miarę jak coraz więcej cudów opisywała mu Basia w swoich listach, coraz więcej nabierał chęci do zobaczenia tego wielkiego miasta i obejrzenia na własne oczy owych niesamowitych rzeczy. Na strychu w tajemnicy przed rodzidzicami zaczął znosić najrozmaitsze rzeczy któreby przydały mu się w podróży. W pudełku od zapałek uzbierał garść miedziaków, a w tornistrze, skąd wyrzucił kilka książek i zeszytów, umieścił pół bochenka czerstwego razowego chleba, mały woreczek grochu i odrobinę soli. Wszystko było już gotowe do drogi dalekiej, ale chłopiec

nie miał pojęcia, w której stronie jest Warszawa, i trochę mu było żal rodziców i wiernego psiaka Burka, który nigdy z nim się nie rozstawał, nawet w najdalszych wyprawach do lasu.

Aż nareszcie, kiedy pewnego razu przechodził Waluś przez tor kolejowy, wpadł na pomysł iść nim, gdyż on z pewnością prowadzi do Warszawy, bo tamtędy przecież pojechała Basia z panami. Zdecydował się więc nareszcie. Pewnego dnia, jeszcze na długo przed wschodem słońca, wdrapał się cichaczem na strych i wydobył swoje manatki. Najtrudniej było rozstać się z matką. Chcąc ją jeszcze raz zobaczyć, musiał bardzo ostrożnie otworzyć drzwi od drugiej izby, aby nie skrzypiały. Śpiącą pocałował w rękę, spojrzał ukradkiem na ojca, czy czasem nie przebudził się, i cichaczem wysunął się już nie drzwiami, ale uchylonem oknem wprost do ogrodu. Biegł naprzełaj przez pola w stronę, gdzie spodziewał się natknąć się na tor kolejowy.

W pewnej chwili wzdrygnął się. Biegł za nim krok w krok pies.

— A pójdziesz ty do domu! — krzyknął chłopiec, poznawszy Burka. Ale po chwili namysłu doszedł do wniosku, że lepiej się z nim nie rozstawać w tak dalekiej podróży. Ruszyli więc teraz już razem, a Walusiowi tak się zrobiło raźno, że zaczął pogwizdywać.

Wreszcie zaczerniły się słupy telegraficzne, a w pewnej chwili chłopiec potknął się nogą o szynę. Teraz szedł już prosto, środkiem pomiędzy dwiema szynami, aby ich w ciemności nie stracić z oczu.

W pierwszej chwili coś zadudniło. Chłopiec obejrzał się trwożnie. Ujrzał ztyłu dwa wielkie światła, które się zbliżały ku niemu z gwałtowną szybkością. Chłopiec zaczął biec z rozpaczliwym wysiłkiem, wreszcie wywrócił się o zbyt wystający pokład.

Nie miał już odwagi podnieść się.

Wtulił się trwożnie z zamarłem sercem i schował twarz w drżące dłonie.

Zadudniło...

Jan Bethge
(Z niem.)

Zemsta chłopca

W północnych Węgrzech nad Cisą rozciągają się okolice, które dzięki swej niezwykłej malowniczości odwiedzane są zimą i latem przez licznych turystów i malarzy. Ci zatrzymują się zwykle u miejscowych drwali, którzy z powodu gęstego zalesienia tych okolic zamieszkują je w dużej liczbie.

Jednym takim drwalem, znanym z wielkiej życzliwości i uprzejmości, u którego przyjezdni najchętniej szukali gościny, był stary już wdowiec nazwiskiem Balassi.

Miał dwoje dzieci: małego i niesfornego synka Mikołaja oraz starszą nieco córkę Marysię.

Po śmierci żony cały ciężar domowego gospodarstwa spadł na głowę Marysi. Już na łożu śmierci mówiła matka do zapłakanej córki:

— Marjo, czuję, że chwile moje są policzone, Opiekuj się starym ojcem, a szczególną pieczołowitością otaczaj Mikołaja. Hamuj jego zapędy i staraj się, aby brak matki jaknajmniej odczuwał.

Od tego czasu Marysia krzątała się ustawicznie po wszystkich kątach, bratu zaś pragnęła w zupełności zastąpić zmarłą matkę. Rano odprowadzała go do szkoły, oddalonej o parę kilometrów od domu. Często trzeba było brodzić przez wysoki śnieg, leżący na polach, lub topić się w błocie. Powracając do domu, dziewczynka robiła zakupy u piekarza, to załatwiała inne sprawunki, związane z codziennem życiem. Cały monotonny dzień spędzała przeważnie przy szyciu i naprawianiu odzieży Mikołaja, który darł ją w nielitościwy sposób.

Tak toczyły się dni. Ojciec pracował w fabryce, a Mikołaj cały dzień zwykł spędzać w szkole, powracając do domu dopiero wieczorem.

Pewnego razu powrócił później niż zwykle. Zaniepokojona Marja wybiegła naprzeciw i ku wielkiemu zdziwieniu i przerażeniu zauważyła łzy w oczach chłopca.

— Co ci się stało? — zapytała, usiłując

odjąć mu zaciśnięte pięści od oczu. Chłopiec chwilę opierał się, lecz uległ ostatecznie, zwyciężony matczyną łagodnością siostry.

— Pobił mię Paweł — wyjąkał przez łzy, pokazując podbite i zaczerwienione oko Napróżno siostra usiłowała wyperswadować chłopcu, że Paweł mógł szturchnąć go zupełnie bez złej woli, niechcący.

Mikołaj przysiągł zemstę na śmierć i życie.

Biedna Marja, nie czując się już na siłach odwieść chłopca od chęci zemsty, modliła się gorąco do Boga, aby On natchnął chłopca dobremi myślami.

Pewnego razu wybrała się Marja nad Cisę w miejsce. gdzie zwykła czerpać wodę. Tutaj brzegi zarośnięte były gęstemi krzakami, a woda dość głęboka.

Nagle, gdy jeszcze dziewczynę oddzielały od rzeki gęste zarośla, rozległ się plusk, i przeraźliwy krzyk rozdarł powietrze. Przerażona, nie bacząc, że krzaki drą jej ubranie i kaleczą twarz i ręce, przedarła się przez nie, i oczom jej ukazał się przerażający widok. Oto bystry prąd unosił małego, walczącego z falami ostatkiem sił chłopca. Przez chwilę przebiegła Marji przez głowę myśl, że to być może jej mały braciszek. Zbielałemi z trwogi ustami zaczęła wołać pomocy.

Nagle usłyszała czyjeś kroki. Obróciła się szybko w tę stronę i ku swej wielkiej radości poznała w nadbiegającym Mikołaja.

— O, jak ja się o Ciebie bałam! — zawołała—Myślałam, że to ty się tam topisz.

Mikołaj spojrzał w stronę, gdzie resztkami sił pasował się nieszczęśliwy chłopiec z falami.

— To przecież Paweł! — zawołał.

Bez słowa rzucił się do wody tak, jak był, w ubraniu. Ponieważ był dobrym pływakiem, szybko dotarł do topielca.

— Pragnąłem zemsty i dokonałem jej!— zawołał z zadowoleniem, nie żałując koledze szturchańców.

Chwycił Pawła za kołnierz i, pasując się z bystrym prądem, skierował się ku brzegowi. Ponieważ nad brzegiem rosły duże drzewa, które rozpościerały swe gałęzie szeroko nad wodą, chwycił się więc odważny chłopiec jednej, która sięgała prawie tafli wodnej, i w ten sposób dotarł do brzegu. Tam już, bez sił prawie, złożył bezwładnego chłopca na murawie i usiadł oddychając ciężko.

Marja otoczyła go ramieniem i obcałowywała zroszone jej łzami policzki.

— Drogi braciszku, dumną z Ciebie jestem! — zawołała przez łzy.

Z życia Zboru Szkolnego

Dnia 14 grudnia 1930 r. Z. S. M. E. urządził koncert, z którego dochód przeznaczony był na kupno fisharmonji do sali nabożeństw Zboru Szkolnego. Z powodu małej frekwencji uzyskano na ten cel zaledwie 70 zł.

Państwu Rechtsieglom, Pani Tołkaczowej oraz Chórowi Ewangelickiej Młodzieży Reformowanej Zarząd Z. S. M. E. składa serdeczne podziękowanie za łaskawy współudział w koncercie.

Kto dopomoże nam do szybszego zrealizowania naszego projektu nabycia fisharmonji? Gra na tym instrumencie w czasie niedzielnego nabożeństwa szkolnego przyczyniłaby się niewątpliwie do ożywienia śpiewu i podniesienia nabożnego nastroju wśród młodzieży szkolnej.

Dnia 27 i 28 grudnia r. b. odbyły się w sali konfirmacyjnej „rekolekcje" ewangelickie dla młodzieży szkolnej gimnazjum im. M. Reya, poczem w niedzielę, dnia 1 marca, odprawione zostało nabożeństwo komunijne Do Komunji przystąpiło 15 osób zpośród młodzieży.

Dary gwiazdkowe dla sierot złożyli:

1. Dek — odzież 2. Meyer — książki 3. Jan Bursche — zabawkę 4. Golian — odzież 5. Paszkowski — książeczki i zabawkę 6. prof. Goetzen — 2 paczki odzieży i obuwia 7. Hejman — książki 8. Jadwiga i Halina Wentzlówny — zabawki, odzież, obuwie i bieliznę 9. p. Rondthalerówna —

gry, zabawki, torebkę i łóżeczko 10. Waldemar Fischer — książki i 5 zł. 11. p. M. Bielowa — odzież 12. Arnold i Stanisław Czeczotowie — 10 zł. 13. Jan Glaeser — 10 zł. 14. Zygmunt Neumann — zabawki 15. Romuald Starzecki — gry i zabawki 16. Jan Krenz — zabawki 17. Alfred Lang — zabawki.

Ofiarodawcom serdeczne „Bóg zapłać“ składa *Redakcja.*

Co mówił Dyrektor Międzynarodowego Biura Wychowania w Genewie Prof. Piaget o naszem osiedlu szkolnem „Rejówka“.



Prof. Piaget w „Rejówce“.

Jeden z najwybitniejszych międzynarodowych pedagogów współczesnych, Dyrektor Międzynarodowego Biura Wychowania w Genewie i Profesor Instytutu im. Rousseau Dr. Piaget bawił obecnie w Polsce celem wygłoszenia szeregu prelekcyj na temat psychologji wychowawczej.

Zapoznaje on się z organizacją naszego wychowania publicznego, a w ciągu swych badań przybył także do naszego osiedla „Rejówka“. Wrażenia swe z pobytu w Rejówce opisuje prof. Piaget w następujący sposób wobec jednej z Redaktorek „Kurjera Czerwonego“.

„Zwiedzałem także Kolonję Szkoły Reya „Rejówkę“ i przyjechałem stamtąd pełen uznania dla jej Kierowników. — Cóż się Panu tak podobało w „Rejowce“? — Przedewszystkiem to, że jest ona czemś pośredniem pomiędzy obozem odpoczynkowym, a stałą szkołą na wolnem powietrzu. Pomysł wysyłania na przemiany na przeciąg tygodnia na wieś i nieprzerywania ich zajęć jest doskonały. Gdy przyjechałem tam, było mi nad wyraz przyjemnie, że dzieciom w niczem nie przeszkodziłem że zajęcia i zabawy szły swoim niewymuszonym, normalnym trybem.

Prof. Piaget zamyśla się na chwilę.

— I jeszcze jedno — mówi po przerwie — zachwyciła mnie wieś polska, na której byłem po raz pierwszy.“

Kierownik literacki „Na Wyżyny“ ks. O. KRENZ

Redaktor odpowiedzialny ks. F. GLOEH Wydawca: Spółka Wyd. „Logos“.